

Namiętności wysmakowane

"Wenus w futrze" Davida Ives'a w reż. Jana Nowary w Teatrze im. Siemaszkowej w Rzeszowie. Pisze Ryszard Zatorski w miesięczniku Nasz Dom Rzeszów.



Zasady jedności miejsca, czasu i akcji wyznaczone przez antycznych prekursorów teatru i bliskie autorowi "Wenus w futrze" Davidowi Ives'owi, potwierdził też w przekazie scenicznym reżyser Jan Nowara, racząc nas 5 marca br. premierą tej sztuki na małej scenie im. Zdzisława Kożienia. Daleką w estetyce od ascetycznego czasu postu. Korzystając z literackiego tworzywa amerykańskiego dramaturga, twórca spektaklu sprawił, że można było odebrać to widowisko niczym wzorcowe artystycznie seminarium teatrolologiczne. Bo wszak wszystko, co działo się na scenie, mogłoby przecież mieć swój przykład realny. No, może poza wystrzałowym finałem.

Bo jeśli spojrzeć na akcję spektaklu, to realnie też przecież w teatrze odbywają się coraz częściej modne z amerykańską castingi, czyli przesłuchania konkursowe, przeważnie po to, aby wybrać kogoś i tak upatrzonego wcześniej. Bo czyżby twórca widowiska, zwłaszcza dyrektor teatru, nie znał możliwości swych aktorów. I nawet w akcji rzeszowskiej Wenus zabrzmiało poniekąd realnie echo z innego przedstawienia, gdy Dagny Cipora w roli Wandy zapewnia literackiego reżysera Thomasa (znakomity w tej roli Michał Chołka), że przychodzi z doświadczeniem scenicznym, bo grała już przecież Heddę Gabler. Co w widzach może zabrzmieć przerzutnią do wcześniejszej premiery, otwierającej obecny sezon artystyczny w Teatrze im. Siemaszkowej, gdzie Heddę zagrała aktorka gościnnie, wybrana w konkursie, gdy tymczasem artystki z etatowego zespołu naszego teatru (także utalentowana Dagny) wystąpiły w roli widzów. Być może to tylko takie moje skojarzenie.

"Wenus w futrze" reżysersko Jan Nowara dopieścił w każdym calu, a młoda para sceniczna Cipora i Chołka zagrała z kunsztem i troskliwością o widza, który w tej małej salce był jakby w jedności z artystami na tej zaprojektowanej w środku scenie, gdzie każdy fałsz byłby od razu dostrzeżony. To już kolejny raz, jak pamiętam, także mistrzowsko scenografią zamknięta została ta przestrzeń - sceny i widowni - tym razem przez Magdalenę Gajewską, a poprzednio zrobiła to prawie trzy lata temu Zofia Mazurczak w Autorze. W obydwu przekazach artystkom wydało się chyba naturalne obudować ponurą salę "nowymi" ścianami wspartymi na filarach, w tym przypadku trzymających kratownice tego metaforycznego ogrodzenia.

A wracając do myśli początkowej - prawie półtoragodzinne widowisko ani przez chwilę nie nuży, ale znakomicie wciąga i ilustruje coś, co mogłoby się zdarzyć. Kandydatka do roli w sztuce i reżyser przeistaczają się na tworzonych przez siebie werbalnych planach raz do roli autora (reżysera) i potencjalnej aktorki, raz do roli postaci w sztuce, którą grać będą, a raz jeszcze do roli recenzentów tworzywa literackiego. I tworzy się w tym przedstawieniu, rzecz można, teatr w teatrze prawdziwym, obserwujemy opowieść dramaturgiczną i kolejne etapy tej pracy. Od prologu poczynając, z zawieszoną na huśtawce bohaterką i spoczywającym na

ogromnej walizce jej partnerze, gdy w tle sączy się dyskretna muzyka (opracowanie Tomasza Wadowskiego). Widzowie już usiedli i czekają, a artyści tak wspaniale grają tę ciszę - tak przeciwstawną dalszym żywiołowym emocjom i namiętnościom bohaterów. Narastającym w każdej sekwencji. Owa Wanda, która miała być podporządkowana, staje się władczą i dominująca. Nawet gdy podaje Thomasowi łańcuch zapięty obrozą na jej szyi, to ta uprzęż natychmiast z jego woli łąduje na nim i go obezwładnia. Bogini miłości z Afrodyty staje się wściekłą jej przeciwnością, bezwzględna w stapaniu krok po kroku do zamierzonego celu. Zaciekawienie, pożądanie, a w końcu może i miłość, którą wyzwala w tym, którego łaskawości przysłała się niby poddać, zamienia w niewolnicze podporządkowanie. Z masochistycznym obezwładnieniem. Jest w tym widowisku także odwaga odkrycia przez zmysłową Dagny Ciporę nie tylko twarzy, ale i nieco innych wdzięków, co jednak na pewno nie budzi nagannych myśli u widzów. Także w owych subtelnym scenach namiętności "miłosnej", wyrażonych figurą obrazu choreograficznego (wedle pomysłu Tomasza Dajewskiego). Nigdzie ani o włos nie przekroczona została granica dobrego smaku.

Spektakl artystycznie wysmakowany, chwilami poetycko trącający wrażliwość widzów. A nawiązania treściowe do masochistycznego pierwowzoru miały też niezamierzone asocjacje. Bo w tej ciasnej, niewentylowanej salce wszyscy pod koniec czuli się niby w parowej łaźni. Może zatem czas najwyższy (apel do marszałka) podjąć odważną decyzję i w tym wiekowym już budynku dawnego Sokoła obecną dużą scenę zamienić stosownie do jej przestrzeni na małą, a prawdziwą wielką scenę dobudować obok. Tak jak to zamierzał dyrektor teatru Jan Nowara, gdy pełnił krótko tę funkcję poprzednim razem. Przestrzeni wokół nie brakuje, aż do bibliotecznym posiadłości i alei Ciepłińskiego.

"Namiętności wysmakowane"
Ryszard Zatorski
Nasz Dom Rzeszów nr 3/2015
24-04-2015